Ostroga

1917 Zaorana.

Głosy Wolne.

№ 1

ST. OSTROGA.

ZARAZA

(GŁOS WOLNY PONADPARTYJNY)

WARSZAWA
1917

Cena 40 groszy.

Głosy Wolne.

№ 1

ST. OSTROGA.

ZARAZA

(GŁOS WOLNY PONADPARTYJNY)

„Nie słuchaj ich mścicielu niebieski! Co ja tu mogę? Co ty sam możesz gdy twoja zaraza, twój głód, twoje powodzie sprawiedliwego i złoczyńcę razem pochłaniają? Kto płomieniowi zakaże: żeby on niszcząc gniazda gąsienic nie dotykał pola kłosem usianego“.

(Fryderyk Szyller: „ZBÓJCY“).

WARSZAWA
1917

I.

Zostawmy na chwilę w spokoju — państwa centralne, czy też Niemców, koalicję, czy Rosję, a zajmijmy się nieco sobą, już nie tem, czem będzie z górą 25-milionowy naród, gdy odzyska niepodległość polityczną, — lecz czem jest teraz pod względem moralnym, nawet niecałe Królestwo, ale sama Warszawa i jej t. zw. inteligencya? Zastanówmy się nad duszą własną, nad tem do czegośmy doszli w stosunku do samych siebie?

Bez względu na tę lub inną „oryentacyę", na to, jak kto przyszłą Polskę sobie wyobraża, jakie kształty państwowe spodziewa się osiągnąć przez wojnę; bez względu na to, jakim kto hołduje programom politycznym i społecznym, każdy, cokolwiek szczerze myślący i nie zachwiany w sumieniu swojem Polak, przyznać musi, że życie naszej „mniejszości historycznej", t. j. tych sfer, którym obecnie przypadła rola sternika nawy narodowej, tchnie niezwykłą niemocą, nieudolnością i rozprzęże-

niem. Takiego chaosu w głowach, bezwraźliwości w sumieniach, nikłości w czynach, przy zaniku instynktu i rozumu politycznego, — czem się odznaczają sfery naszej inteligencyi, mające pretensyę do przodownictwa w życiu narodowem, chyba nigdzie, w innych warstwach społecznych, znaleźć nie można. Zjawisko tem dziwniejsze, ile, że sfery powyższe żyły chyba najbardziej myślą o Ojczyźnie, wciąż mówiły o obowiązkach względem niej i nieustannie usposabiały się wewnętrznie do pracy dla niej w chwili stanowczej, gdy jej postać polityczną wypadnie wyrywać losom zawistnym.

Czyżby to wszystko, ta przypuszczalna dobra wola i ta miłość gorąca — w treści swojej istotnej wywietrzała podczas długoletniej niewoli, a pozostał tylko z tego wszystkiego, upajający lecz pusty dźwięk, który rozbrzmiewał na ustach naszych odruchowo, przy lada sposobności?

Czy to może w teoryi wygląda inaczej, piękniej,— w praktyce zaś, w ruchu i zgiełku życia, odsłania dopiero swoje, mniej powabne oblicze?

Jakkowiekbądź z chwilą, gdy historya powołała nas do czynu, kiedy już nietylko rozprawiać o „wyzwoleniu“ naszem, lecz w pewnej mierze zaczęliśmy czynnie na rzecz jego występować, zostaliśmy dotknięci jakąś chorobą epidemiczną, rzekłbyś: zaraza jakaś nagle w nas uderzyła, poplątała myśli, zmąciła sumienia, poruszyła w duszach naszych przedewszystkiem marne uczucia i złe skłonności, odbierając działaniom ludzkim, już nietylko

znamię wielkości, lecz przeciętną godziwość. Rzecz jasna, nie mamy tu na względzie takich dziedzin działalności naszej zbiorowej, jak dobroczynność publiczna, po części działalność oświatowa i t. p. — gdzie, zawsze zresztą, najwięcej zebrać można dowodów zdrowia i szlachetności dusz naszych, — lecz sferę naszej działalności politycznej, mającej na widoku najświętsze i najdonioślejsze interesy narodu. Otóż, w tej dziedzinie życia naszego, ujawniliśmy w okresie wojny najmniej cnoty zbiorowej, już nietylko tego, co się nazywa cywizmem, szczytnem odczuwaniem, myśleniem i działaniem w imię sprawy narodowej, lecz zwyczajnej zacności, obowiązującej w stosunkach prywatnych. W tej dziedzinie, odporność organizmu naszego moralnego na zarazę, powstałą z ducha czasu wojennego, okazała się najsłabszą.

Jakie tu zapanowało pomieszanie pojęć, jak zatarła się różnica, pomiędzy elementarnem poczuciem dobrego i złego, jaka zrodziła się predyspozycja do występnego działania z pominięciem wszelkich, powszechnie uznawanych skrupułów, dość powołać się na fakt, bijący w oczy, uznania denuncyacyi za broń normalną w walce z przeciwnikiem politycznym. Za rządów moskiewskich denuncyacyą i szpiegowaniem życia naszego zajęta była policya tajna, albo nieliczne wyrodki polskie, wyobcowane ze społeczeństwa; obecnie, poza urzędowymi organami tych szlachetnych czynności, szpiegostwo i denuncyacyę uprawiają na ochotnika licz-

ne jednostki, poruszające się wśród nas z jaknajwiększą swobodą, poza tem redakcye pism i rozmaite grupki polityczne. Wszyscy pamiętamy, jak świętem oburzeniem zawrzał nasz pół-światek literacko-dziennikarski z powodu wystąpienia A. Niemojewskego przeciw wydawcy „Księgi tęczowej polaków“, w której starano się ośmieszyć nadzieje, obudzone w szerokich sferach społeczeństwa naszego przez odezwę w. ks. Mikołaja. Nadzieje owe mogły być zbyt żywe, polityka z niemi związana mogła być zanadto porywcza i zadaleko idąca, można było z tem wszystkiem się nie godzić i stanowczo się przeciwstawiać. Nie o to jednak, nie o wytykanie błędów przeciwnikom i krytykę ich „oryentacyi“ chodziło żydkowi - wydawcy, lecz o zwyczajną szykanę i złośliwe urąganie poruszonemu nadzieją lepszej przyszłości żywiołowi polskiemu — i na tego rodzaju zamachy zareagował namiętnie Niemojewski. Mógł pobłądzić formą gwałtowną swego wystąpienia, nikogo jednak nie denuncyował (wydawca „Księgi Tęczowej“ — nie ukrywał się ze swojem nazwiskiem), on tylko zdemaskował złośliwe intencye przemyślnego żydziaka. I za to właśnie ściągnął na siebie gromy nietylko obozu jego naturalnych sprzymierzeńców, lecz nawet instytucyi, reprezentującej „cnotę“ i „honor“ (wstrzymajcie śmiech!...) zawodowy, mianowicie „Towarzystwa literatów i dziennikarzy warszawskich“, które wystąpiło z publiczną naganą postępku Niemojewskiego, wytykając jego rozminięcie się

z etyką stanu literackiego... Aliści ta wrażliwość wyjątkowa na wykroczenia przeciwko niej, jakoś nagle zginęła w „Tow. literatów i. dziennikarzy“ z chwilą wyparcia Moskali z Warszawy i kraju całego przez Niemców. Z chwilą tą rozpoczęła się u nas nieokiełznana orgja denuncyacyjna, prowadzona i uprawiana nietylko przez dziennikarzy z pod ciemnej gwiazdy, lecz przez znaczną część prasy naszej, nietylko przez najemnych przedsiębiorców dziennikarskich, lecz przez „poważnych“, ideowych przedstawicieli publicystyki warszawskiej. Już nietylko ciemne osobistości, jak Aleksander Zawadzki, osławiony wydawca pisma ludowego („Lud Polski“), tłómaczący tam ludowi naszemu „dlaczego go niemcy kochają“ (taki tytuł nosi jeden z jego artykułów) — i t. p., nędzne istoty denuncyują pokątnie, bądź jawnie przed władzami niemieckiemi ludzi pojedyńczych i stronnictwa całe, informują okupantów o tem, co się wśród nas dzieje, jakiemi drogami idzie życie polskie i t. p., — lecz to nawet wśród mniej plugawych żywiołów rekrutują się dziś jednostki, pomagające chętnie Niemcom w sprawie rozciągnięcia dozoru nad społeczeństwem naszem, kontroli nad uczuciami i myślami naszemi, doradzające „bezinteresownie“, w imię idei wyznawanej, jak mają z nami postępować. Nie zawahał się przed najordynarniejszą denuncyacyą p. Makowiecki, — którego „Goniec“ zresztą stale czemś podobnem się trudni — co pociągnęło za sobą wywiezienie z Warszawy do obo-

zu jeńców znanego adwokata, H. Konica; redaktor „Nowej Gazety“, pachciarz wszelkiego „postępu“ w Polsce i gruntowny teoretyk, przedewszystkiem dla ludu wybranego, korzystnej „asymilacyi“ — p. Stanisław Kempner, nie zawahał się wszak również, gdy władze niemieckie poszukiwały autora jakiejś broszurki, przeciw ich gospodarowaniu u nas wymierzonej, odrazu zadenuncyować ludzi i grupy sobie niemiłe. „Szukajcie — tam a tam, pisał ten pan czarno na białem — „napewno, nikt inny, tylko oni“ — przekonywał ten publicysta „utalentowany“ i jeden z filarów utworzonej świeżo „Rady Narodowej“. A cóż mamy powiedzieć o znanym memoryale p. Wł. Studnickiego, w którym ten natchniony budowniczy przyszłego państwa polskiego, doradza między innemi Niemcom, jak się mają zabrać do prasy polskiej, by pisała z nakazu entuzyastycznie o tem, czego z dobrej woli nie chce robić?

To już nietylko bezwzględna walka z przeciwnikiem za pomocą cynicznych donosów, upozorowanych dobrem publicznem, — to jakiś sadyzm denuncyacyjny, sztuka dla sztuki, przeżywanie rozkosznych chwil z powodu samej czynności donosicielskiej. Faktów, jak powyższe, bez liku każdy ma pod ręką, są one chlebem powszednim naszego życia publicznego i działalności politycznej; dawały one powód do licznych rewizyi, gwałtów i dokuczliwości wszelkich ze strony władz niemieckich (o okupacyi austryackiej i czynności denuncya-

cyjnej w Galicyi Naczelnego Komitetu Narodowego i t. p. instytucyi — zwłaszcza we Lwowie — nie wspominamy), względem różnych osób w Warszawie, dlaczegóż to jednak „Towarzystwo literatów i dziennikarzy“ dotychczas z żadnym protestem nie wystąpiło, dlaczego nie daje znaku życia wobec faktów, tak przecież niezgodnych z elementarnymi przepisami etyki zawodowej, już nie mówimy—narodowej? Miałby p. Artur Śliwiński, autor protestu przeciw Niemojewskiemu, nową sposobność do popisania się stylem i polotem à la Mochnacki — dlaczegóż więc waha się i zwleka? Może dlatego, że rzeczy już tak daleko się posunęły, zaraza tak wytrawiła wrażliwość członków tego towarzystwa, że nawet wywołanie ducha Mochnackiego nie wstrząsnęłoby ich sumeinie m!

A może chcesz wiedzieć, czytelniku, jak to się stało, że od kilku miesięcy nie spotykasz się w Warszawie, a i na prowincyi, z „Kuryerem Poznańskim“, który tak był powszechnie u nas czytany i, wobec ubóstwa i jednostronnści krzykliwej prasy naszej, w dodatku skrępowanej niezwykle przez cenzurę, dopomagał ogółowi naszemu, chcącemu się czegoś nauczyć w tych czasach i nie wyjść z równowagi, do lepszego zrozumienia złożonych zjawisk życia politycznego, bezpośrednio nas dotyczącego?

Myślisz pewnie, czytelniku, że to „robota“ Niemców, dla których „Kuryer Poznański“, oddawna jest solą w oku. Jesteś w błędzie tym razem: jest to „robota“ Polaków — i to takich, którzy nie

dosypiają i nie dojadają w obronie interesów Ojczyzny... To na przedstawienie panów A. Zawadzkich i Wł. Studnickich, przysięgłych „doradców“ Niemców w sprawach polskich, oraz redakcyi pisma „Gazeta Narodowa“ — wychodzącego w Księstwie przy współudziale „zasłużonych“ publicystów z „Gońca“ warszawskiego, został wzbroniony „Kuryerowi Poznańskiemu“ wstęp do Królestwa. W ten sposób, takimi środkami zwalczają ci, i im podobni, panowie swoich przeciwników, t. j. tych wszystkich, którzy mają odwagę na sąd samodzielny i nie podzielają ich entuzyazmu dla Niemców. Dawniej tego rodzaju czyny na wieczne czasy napiętnowałyby znakiem niezmytej hańby bezwstydne czoła jednostek, które się ich dopuściły; dziś — zjednywają one jednostkom tym uznanie i wdzięczność tych sfer, które pod zarzutem „moskalofilstwa“ starają się utrzymywać tych wszystkich, którzy przeszkadzają im w osiąganiu już nietyle politycznych, ile osobistych celów.

Skoro poruszyliśmy sprawę, dotyczącą jednego z pism polskich, to pomówmy z kolei wogóle o prasie warszawskiej. Za panowania rosyjskiego, mieliśmy tylko urzędowy „Warszawskij Dniewnik“, który reprezentował interes rządowy i poglądy władzy na stosunek do społeczeństwa polskiego. Ten organ urzędników, żandarmów i szpiegów rosyjskich nie był wzorem i natchnieniem dla żadnego pisma polskiego. Mieliśmy pisma t. zw. „ugodowe“, które dążyły do przekonania rządu o konieczności

zmiany kursu względem społeczeństwa polskiego, do stworzenia takiego modus vivendi, przy którem interes państwa byłby zachowany i interes polski doznał zadosyćuczynienia. Mogły tego rodzaju usiłowania nieraz schodzić na manowce, przybierać niekiedy formę niesmaczną, obrażającą uczucia nasze, pismom wszakże ugodowym nie można było zarzucić, że stoją na stanowisku przedewszystkiem rządowem, że występują w obronie interesów państwa rosyjskiego i jego bezecnych sposobów rządzenia nami, gospodarowania w Polsce. Jakże się to wszystko zmieniło z chwilą, gdyśmy z pod panowania rosyjskiego przeszli pod panowanie niemieckie, będąc wprawdzie — od 5-go listopada 1916 r.— wobec świata „niepodległem Królestwem Polskiem, sprzymierzonem z państwami centralnemi“, jak to zaznaczył publicznie w dn. 1-go stycznia 1917 roku na placu Saskim, J. E. p, generał-gubernator von Beseler. I znowu nie Niemców to wina, że w prasie naszej zaszła zmiana niebywała, nastąpił taki stan rzeczy, jakiegośmy nie znali. Niemcy, dla reprezentowania swoich interesów, założyli jedno własne pismo „Warschauer Zeitung“, które stoi wprawdzie niewzruszenie na straży państwowości niemieckiej, jej zadań i celów w kraju okupowanym, w stosunku jednak do społeczeństwa naszego zachowuje się o wiele poprawniej, niż niejedno pismo polskie, popierające politykę niemiecką. I pocóżby zresztą Niemcy mieli sami przez się narzucać się nam w prasie swojej, pocóżby mieli przeciągać stru-

nę, kiedy w tem wszystkiem wyręczyć ich mogli sami Polacy, pisma wychodzące po polsku i im, z tych lub owych względów, oddane. I to jest, właśnie, rzecz nowa w życiu naszem! To, czem niegdyś był w stosunku do społeczeństwa polskiego „Warszawskij Dniewnik“, tem dziś, w „sprzymierzonąm Królestwie Polskiem“ — jest „Godzina Polski“, założona wprawdzie z ramienia kanclerza państwa niemieckiego, Bethmanna-Hollwega i z funduszów dyskrecyonalnych czerpiąca zasiłek — przez znanego przedsiębiorcę od tego rodzaju wydawnictw, p. Napieralskiego, niemniej zorganizowana przez Polaków i skupiająca dokoła siebie sporą gromadę dziennikarzy i literatów (!?) warszawskich, nawet takich, którzy przedtem o współdziałaniu z Niemcami słuchać nie chcieli. „Godzina Polski“ lepiej nawet pełni swą służbę na rzecz Niemców, niż to robił „Dniewnik“ na rzecz Moskali, ten ostatni bowiem mógł nawet nieco wstydzić się swej policyjno-prowokatorskiej roli, zresztą wiedział dobrze, że jego argumentacya nikogo nieprzekona, odsłaniane zaś przed Polakami widnokręgi — nikogo nie zwiodą; tymczasem „Godzina Polski“ mdleje w każdym numerze z zachwytu nad wszystkiem, co jest polityką Niemców w stosunku do nas, wielbi bez zastrzeżeń wszystko, co jest wyrazem ich kultury, obyczaju, myśli, pracy i sposobów działania, wogóle, co jest potęgą ich ducha oraz niezwalczoną siłą ich... pięści, choćby ta jaknajbezwzględniej z nami sobie radziła. I „Godzina Polski“ wcale się

roli swojej nie wstydzi, wcale się nie krępuje tem, że to wobec społeczeństwa polskiego ona reprezentuje i narzuca mu interes neimiecki — a nie odwrotnie, jak przystoi pismu polskiemu — lecz, owszem, chlubi się rolą podobną i często daje do zrozumienia, że podjęła się jej, żeby naród polski wydobyć z toni i wyleczyć z „moskalofilstwa...“ Najlepszym sposobem uzdrawiania nas, jest, podług „Godziny Polski“, rzecz prosta... denuncyacya i pomawianie ogółu naszego, cokolwiek krytycznem okiem spoglądającego na zamiary polityczne Niemców względem Polski i, bez większego zapału, przyjmującego ich „dary“, o wyraźne sprzyjanie Moskalom i chęć dochowania im wiary aż do grobowej deski.... W taki tylko sposób pracuje „Godzina“ dla dobra Polski i Polaków, dla dobra zaś Niemców trudzi się mniej jednostronnie i wysila cały swój dowcip i pomysłowość, podnieca się nieustannie, żeby je pomnożyć. Współpracownicy „Godziny“, w swoich zabiegach o dobro i chwałę wielkich i potężnych Niemiec, dochodzą, prawdziwie, do szczytów bezinteresownej ekstazy. Żeby mieć wyobrażenie, jak ekstaza ta typowo się objawia dość czytywać (niewielka to przyjemność — wyznajemy!) już nie artykuły polityczne, lecz choćby nowele i feljetony fantastyczne niejakiego p. Leo Belmonta, jednego z tych żydków na smaku petersburskim, który za czasów rosyjskich zachwycał się kulturą Puszkinów, Gorkijów, Andrejewów i t. p., piał na cześć liberalizmu rosyjskiego hymny i kar-

cił nas za brak wiary w jego szlachetne względem Polaków intencye, obecnie zaś, w czasach przewagi niemieckiej, z zapałem nieopisanym wielbi kulturę... „Berliner Tageblatt'u“, „Ulka“ i „Alei zwycięstw“, na cześć zaś cnót prywatnych i publicznych Niemców współczesnych wypisuje tego rodzaju dytyramby, że sam nawet redaktor „Die Woche“ krzyknąłby mu nad uchem, po odczytaniu tych pochlebstw sentymentalnych: „żydku — zlituj się! bo kompromitujesz nas z kretesem“. Ktoby chciał się przekonać, jakto podniośle wygląda w „Godzinie“, niech przeczyta choćby jedną nowelę p. Belmonta „z dnia bieżącego“, p. t. „Powiedz naszemu synowi“. „Powiedz naszemu synowi, pisze p. Belmont w imieniu Hansa (żołnierza) do jego żony, Lizy, — że Warszawa jest pięknem miastem, i że nas przyjęto tu bardzo przyjaźnie...“ (zapomniał natchniony autor dodać, że w objawach tej przyjaźni najdonioślejszą rolę miały... Nalewki). Z noweli okazuje się, że wszelkie wzniosłe instynkty i uczucia, cnoty rzymskie i chrześcijańskie, cywilne i militarne — skupione zostały w rodzinie niemieckiej. Tak patetycznego przypochlebiania się p. Belmont nigdy nie ujawnił, nawet w stosunku do liberałów rosyjskich... Tego rodzaju sentymentem przejęci są wszyscy kierownicy i współpracownicy „Godziny“. Jakkolwiek jest to coś nowego w dziejach prasy polskiej, nie może to jednak nikogo dziwić, ci panowie bowiem p o w o ł a n i zostali do tego, by czcić wszelką rzecz niemiecką i ducha niemieckie-

go, interes zaś narodu i państwa Niemców wobec nas popierać. Co dziwniejsza, że pomagają im pośrednio — i bezpośrednio częstokroć — inne pisma polskie, które podług kierowników swoich powołane są, by ochraniać rzecz polską i Polaków uszczęśliwiać. I tu nie o to głównie chodzi, że rozmaite „Gońce", „Nowe Gazety", „Widnokręgi" — a nawet zezujący na rozmaite strony „Kuryer Polski" — i t. p. „organy politycznie dojrzałej opinii polskiej", wyzyskują nadmiernie mózg swoich współpracowników, przekonywając nas, że tylko w interesie państw centralnych leży utworzenie silnego i niezależnego państwa polskiego, że z tej strony tylko zbawienie nasze — bo taki pogląd może być oparty na dobrej wierze i poważnych argumentach — lecz o to, że organy te usiłują wmówić we wszystkich, że już to się stało, że jarzmo obce zostało z nas zrzucone, że jesteśmy „swoi" — jak się wyraził pewien podniecony kauzyperda — że możemy tedy na nikogo więcej się nie oglądać, państwa bowiem centralne, tak w dalszym ciągu czynić będą, żeby nam było jaknajlepiej na świecie. Stąd też, kto jest odmiennego zdania, kto nie żywi uczuć entuzyastycznych dla „wskrzesicieli" państwa polskiego i ostrzega przed zaniedbywaniem innych jeszcze czynników, które mogą o jego kształcie i rozmiarach stanowić, ten jest przez pisma powyższe podejrzewany o „moskalofilstwo" i, jako „sługa carski", bez ceremonii, piętnowany, a, gdy trzeba — denuncyowany.

W tej zawziętości monomańskiej tak daleko zaszły pisma powyższe, że nikomu tam nawet na myśl nie przyjdzie, iż mały to zaszczyt napastować i oszczekiwać wciąż przeciwnika, kiedy on ma usta zakneblowane i wypowiedzieć się nie może. (Wszak to cenzura niemiecka nawet pożartować z lekka nie pozwala z p. Łempickiego np., albo z p. Brudzińskiego, cóż dopiero rozwijać poglądy, nie odpowiadające interesom niemieckim). Ale są to rzeczy zbyt subtelne dla ludzi, którzy w walce z bezbronnym przeciwnikiem posługują się denuncyacyą, albo na zimno uprawianem oszczerstwem. No, i nasze t. zw. „aktywistyczne“ żywioły, wśród których wszak nie brak jednostek przyzwoitych, mało się z tem liczą, że w ten sposób ich „aktywizm“, popierany przez prasę denuncyatorską, schodzi do roli — do czego zeszła i prasa ta — powolnego narzędzia w rękach okupantów, że nawet ich działalność polityczna w imię dobra Ojczyzny, traci samodzielność i popiera wobec społeczeństwa naszego oczywisty interes niemiecki.

Już oswojono się u nas z otwartą lub podstępną denuncyacyą znacznego odłamu prasy naszej, mogącej się rozwijać pod skrzydłami cenzury niemieckiej w „sprzymierzonem i niepodległem Królestwie Polskiem“, jak też przechodzi się do porządku dziennego nad czynami donosicielstwa con amore jednostek rozmaitych, krążących z nonszalancyą w różnych sferach społeczeństwa naszego. To, co dawniej spotkałoby się ze wzgardą powsze-

chną, dziś traktuje się jako zjawisko normalne, kto wie, może nawet jako dodatni objaw w życiu odradzającej się Polski?... I tu już nie o taką lub inną „oryentacyę“ chodzi — we wszelkich, ze względu na trudność naszego położenia, mogą być idee i przewidywania zdrowe i trafne — lecz o wartość duszy polskiej, o taki jej skład, bez którego wszelkie budownictwo państwowe w niezależnej Polsce — może się skończyć jej klęską i hańbą.

Idźmy więc dalej drogami rozwijającej się współcześnie duszy naszej...

II.

Wymownem świadectwem znieprawienia dusz wśród inteligencyi naszej, jest szerząca się błyskawicznie zaraza karyerowiczostwa bezwstydnego, żywiołowo przepychającego się, „robiąc łokciami“ — po parweniuszowsku — do miejsc lepiej słońcem ogrzanych, bądź pełznącego ku nim w sposób bardziej dystyngowany i polityczny... Wspaniały widok olśniewających powodzeń, nagłych skoków na wyżyny znaczenia i dostojeństwa w życiu publicznem — przedstawił się oczom naszym z chwilą ustalenia rządów niemieckich w Warszawie. Czyś roił kiedy, kochany czytelniku, w swoich marzeniach najśmielszych, żeby w Polsce, krainie trudów

nienagradzanych, cichego, bohaterskiego zmagania się z losem i pracy ofiarnej, ktoś mało znany, nie słynący ani z cnót, ani z zasług osobliwych, mógł nagle wynieść się na czoło naszego życia zbiorowego. Powiesz na to, że dawniej, w Polsce nie było pola, ani sposobności po temu, obecnie zaś to wszystko istnieje. Masz zupełną słuszność! — i dlatego to dziś widzisz, że zasługi i cnoty rosną, jak na drożdżach, tam nawet, gdzie były ich ślady zaledwie, a „karyery" powstają z zawrotną szybkością. Pokrzepiasz się teraz, nadwątloną w ciężkich czasach, wiarę w żywotność rasy własnej, widząc, jak dziś normalny lekarz zostać może nagle... Magnificencyą, rektorem, wskrzeszonej po tylu latach, wszechnicy naszej, a zaraz potem... prezesem, również wskrzeszonej, Rady stołecznego miasta, a niebawem wytrawnym politykiem, dokonywującym śmiałych zwrotów w naszych stosunkach politycznych, wreszcie, pełnym już chwały, wodzem narodu — wiodącym go pewną stopą po drodze jego dziejowych przeznaczeń. Więc dalej, widzisz oto instruktora mleczarskiego — jak, bez trudów i znojów, zostaje burmistrzem tegoż stołecznego miasta, formuje i uczestniczy w delegacyach od narodu do Berlina i Wiednia, jak konferuje z ministrami i sam już jest... prawie ministrem. Coraz bardziej zdumiewający widok będziesz miał przed sobą, czytelniku. Szeregi takich i t. podobnych przyszłych ministrów, dygnitarzy i dostojników „sprzymierzonego Królestwa Polskiego" — przesuną ci przed wzro-

kiem olśnionym! Patrzysz, oczy przecierasz — pytasz: skąd się tu wzięły te zastępy? nie przypominasz sobie czyś widział kogo z tych wodzów i senatorów narodu w przednich szeregach wówczas, gdy na twardych jego rolach szła praca znojna i nierozgłośna.... Uprzytamniasz sobie, że prócz nielicznych wyjątków, z tej majestatycznej i obiecującej drużyny dostojników — nikogo tam nie było. Owszem: każdy „czynił w swojem kółku“, a czynił i zabiegał przedewszystkiem dla siebie. A więc: jeden zajmował się parcelacyą zaszarganego majątku, drugi — był „spirytystą“ w bardziej nowoczesnem znaczeniu tego wyrazu, pędził zawzięcie wódkę w złotodajnym okresie Wielkiej wojny, trzeci — rozwijał życie sportowe w swoim zakątku, gdyż to ułatwiało stosunki towarzyskie ze sferami dystyngowanemi; czwarty pomnażał dostatki swojej rodziny bankierskiej, piąty—upajał się szczęśliwem zdobyciem milionów żydowskich, szósty... próżne określanie, wszystkich bowiem cnoty i zasługi nie wychodzą z obrębu zasług prywatnych, osoby „zasłużonych“ głównie dotyczących. Skąd więc to wyróżnienie, to nagłe wysunięcie się na czoło narodu, to powołanie do czynów i działań, mających na celu społeczność całą, jej losy przyszłe, jej rząd, państwo i t. p.? Sprawczynią tych metamorfoz nagłych, tej „karyery“ cudownej, jest: polityka! Przed wojną nie mieliśmy w Królestwie nadmiaru ludzi oddanych działalności politycznej. Jakaż to zresztą była działalność! Przed rewolucyą rosyjską polityka na-

sza, ta, która budziła w narodzie świadomość jego praw i chęć walki o nie, była przeważnie konspiracyjną, nie otwierała wcale ponętnych widoków przed swoimi adeptami; bardzo często, za wysiłki i zasługi znane tylko wtajemniczonym, płaciła więzieniem, wygnaniem,, wogóle wykolejeniem jakiemś życiowem, poza tem, uprawiający politykę konspiracyjną, w społeczeństwe samem, w jego sferach dojrzalszych, nie spotykali się z żywszem uznaniem i nie doznawali poparcia. Był to czas, w którym politycy nasi — jeśli można ich nazywać politykami — żadnych interesów osobistych nie mieli możności przemycać pod flagą interesu narodowego, bardzo chyba idealnym ambicyom mogli czynić zadość na drodze działania politycznego, nawet pospolitej słabostki natury ludzkiej, mianowicie próżności nie mogli w szerszej mierze zaspokajać, gdyż do jawnych oklaskiwanych popisów i występów mało było sposobności. To też okres przedrewolucyjny polityki naszej, był okresem bezinteresowności i poświęcenia, krystalizowania się programów politycznych na szerokiej podstawie interesu oraz ideologii narodowej, nie mówiąc już o tem, że czasy owe, były szkołą i próbą charakteru działaczów pilitycznych.

Już sam okres rewolucyi i nastęujący po niej— Dumy oraz Rady Państwa — wniósł sporo zmian do powyższego stanu rzeczy: wyraźniej zarysowały się stronnictwa polityczne, — które zaczęły półjawny żywot i pozyskały możność większą rozwi-

jania swoich programów, bodaj w prasie i w okresie wyborów do ciał prawodawczych — ostrzej zaznaczyły się przeciwieństwa i współzawodnictwa, te lub inne widoki osobiste, ambicye i zabiegi zaczęły odgrywać rolę znaczniejszą — na arenę życia politycznego coraz więcej zaczęło przybywać ludzi z rozmaitych sfer społecznych, którzy politykę pragnęli „robić“, przyznawali się głośno do takiej lub innej i żywili zamiary polityczne. Sporo mogło być objawów niesmacznych i zdrożnych w tej naszej grze politycznej, ujawniły się nieraz, w masach i jednostkach, niezbyt budujące instynkty, żądze, dążenia; nie jeden z polityków mógł zabiegać o własne sprawy, pokrywając je, mniej lub więcej zgrabnie, sprawą ogólną, za której rzecznika się wydawał, — zresztą cel walki i zabiegów osobistych, stawał się coraz mniej ponętnym z chwilą zredukowania ilości posłów z Królestwa i utraty nadziei uzyskania autonomii. Walczyły o mandaty poselskie więcej stronnictwa, którym chodziło o utrzymanie swego stanowiska w społeczeństwie, niż jednostki o ambicyach politycznych, trzeba było bowiem nie jednego z kandydatów błagać i zaklinać na wszelkie świętości, żeby mandat przyjął, tak mało było zdecydowanych — rozpromienionych perspektywą godności i działalności poselskiej — amatorów przesiadywania w Petersburgu, bezpłodnej walki w Dumie i związanych z nią zgryzot i udręczeń wszelkich, wreszcie znanej wdzięczności rodaków, politykujących po kawiarniach i pismach

warszawskich, która w najlepszym razie, darzyła wybrańców narodu ordynarnie — złośliwem mianem: „chadatajów“, t. j. takich wycieraczy rozmaitych urzędów, którzy za skromną opłatą przypominają biurokratom rosyjskim, że są tam sprawy przez nich nieco zaniedbane... Każdy przyzna, że tego rodzaju warunki działalności politycznej oraz widoki osobistego powodzenia i nagrody, nie mogły polityków naszych, lub aspirujących do polityki, zbytnio zachęcać do żywszego poruszenia się na tych drogach, jakie się przed nimi rozściełały. Ilość wprawdzie polityków nie zmniejszała się, owszem — nawet rosła, na tle bowiem niezadowolenia z przewodników politycznych różnych stronnictw, rodziła się chęć niezależnego od nich działania politycznego, powstawały w stronnictwach rozłamy i różniczkowania, wszelkiego rodzaju „secesye“, w których uwijali się „samodzielni“ działacze — prawdziwi neofici, wyzwoleni z przemocy dawnej wiary, używający swobody ordynarnie i krzykliwie, co też przyczyniało się do „ożywienia“ ujednostajniającego się życia politycznego. Aż oto przyszła wielka wojna — oczekiwana i przewidywana przez wielu w kraju naszym! Otwarły się przed nami nieogarnięte przez wyobraźnię horyzonty, rozjaśniły się nadzieją z utęsknieniem wyczekiwanej lepszej przyszłości, poruszyły się gwałtownie instynkty i namiętności narodu, uczucia i myśli wzięły lot górniejszy, zawrzało od ruchu i pracy w rozmaitych dziedzinach życia — rozszerzył się zakres owocnych

wysiłków dla sprawy ogólnej. Nastąpiło „pospolite ruszenie“ polityczne w społeczeństwie naszem, przed politykami naszymi, grupami, stronnictwami i obozami, stanęły w całej swej grozie, złożoności i zagadkowym uroku, olbrzymie zagadnienia związane z bytem politycznym narodu. Jest coś niewątpliwie wzruszającego i dobrze o nas świadczącego w tem ogólnem, nawet wśród żywiołów dość ospałych i dbałych o własne „szczęście w zakątku“ przejęciu się naszem przyszłym losem ojczyzny, oddaniu się polityce, mówiąc poprostu, w tej gotowości działania na rzecz tej lub innej jej koncepcyi, przewidywania, idei. Ale z tem dobrem szło w parze zło fatalne — najście życia politycznego przez żywioły i jednostki najmniej powołane i jaknajniefortunniej wybrane. Wojna, zapowiadająca odmianę gruntowną doli naszej, z chwilą zajęcia Królestwa przez Niemców i Austryaków dająca już jakie takie korzyści narodowe i podsycająca wciąż nadzieje rozszerzenia ich zakresu oraz dotarcia do celu upragnionego, widocznym czyniła fakt, że polityka nie jest rzeczą jałową, że nietylko narodowi, lecz i poolitykom, t. j. oddanym działalności w tej lub innej dziedzinie życia zbiorowego, a stojącym pod takim lub innym jej znakiem, może zapewniać niejaki pożytek, podnosić skalę i wagę istnienia osobistego. Ta pospolita obserwacya, rozwijających się na naszym gruncie stosunków, była bodźcem i zachętą nietylko dla ludzi należących oddawna do stronnictw politycznych, lecz i dla licznych sfer i je-

dnostek mało do ich pożytku przekonanych, do wejścia w łożysko—to czy inne istniejące dawniej— życia politycznego, do żłobienia nowych, wogóle do przybierania charakteru i postawy politycznej. Zaroiło się od ludzi politycznie działających, którzy dawniej stronili od sideł i pokus polityki, od których niegdyś wiał duch cnót prywatnych, rodzinnych, duch skromnych zasług w zawodach mniej deprawujących, albo głośniejszych na polu klubowem, sportowem, nie mówiąc już o przedsięwzięciach mniej wyraźnych. I o dziwo! ci nowi ludzie, zdawałoby się mniej doświadczeni i wytrawni w polityce od fachowych jej szermierzy i wyznawców, zaczęli o wiele śmielej i żywiej poruszać się na jej drogach od tamtych, więcej okazywali skłonności do ryzyka i kroków stanowczych. Istniejące dawniej stronnictwa, żyjące pewnemi tradycyami, zobowiązaniami, poczuciem zbiorowem odpowiedzialności, nie mogły nieraz działać szybko i stanowczo z powodu tego wszystkiego, krępowały się względami i skrupułami rozmaitymi, — natomiast świeżo powstające grupki i komitywy polityczne, bądź jednostki przeniknięte „nowym dreszczem“, nie doznając nacisku tradycyi bądź skrupułów, szły sobie swobodnie za własnym porywem, namiętnością czy też interesem. Ci politycy świeższego autoramentu, którzy ciągle „sympatyzowali“ mniej lub więcej jawnie z różnemi tworzącemi się zgrupowaniami politycznemi, albo przyłączali się do nich, gdy czas ich działania nadszedł, w większości swojej—o mniejszości, o jednost-

kach działających bez rachuby osobistej, gwoli wyznawanej ideologii,—tu nie mówimy—skombinowali odrazu, nie czytając wcale Wyspiańskiego, że „Polska to — wielka rzecz“, dowiedzieli się o jej wielkości z chwilą, gdy otwarły się przed nimi widoki powodzenia osobistego. A widoki coraz ponętniej się przedstawiały! Tu szkolnictwo — Uniwersytet, Politechnika — a tam sądownictwo, albo nawet... szpitalnictwo; tu Rada Główna Opiekuńcza, albo Rada miejska, bank ziemiański, czy bank emisyjny; a oto wreszcie zarysowuje się Rada Stanu, rząd, ministrowie, Sejm, państwo....

Wizya niebywała, nic dziwnego więc, że zapał w ludziach rośnie, że energia ich się zdwaja. Olśnieni nieco jedostronnie tą wizyą zrozumieli również i to, że w dzisiejszych stosunkach jej ponęty, głównie na drodze działalności politycznej są do zdobycia, że poparcie grup politycznych zgodnych z „duchem czasu“ decyduje o tem, daje słodkie owoce, niebaczne zaś oglądanie się na kierunki przeciwne duchowi owemu — odsuwa w nieskończoność nadzieję zdobyczy i cierpkimi karmi owocami. Duch czasu, jak wiadomo, sprzyja czynnej walce Polski w związku z państwami centralnemi przeciw Rosyi, czy też koalicyi, wszelka więc polityka niezgodna z tą „oryentacyą“, polityka neutralności, bezfrontowości, czy też uwzględniania wpływu na nasz los przyszły strony przeciwnej państwom centralnym, nie daje rękojmi powodzenia osobistego, a przytem jest wierutnem „moskalofilstwem“. Dzięki takiej

popularnej koncepcyi politycznej, stojącej zupełnie na poziomie uzdolnienia duchowego tych nowych żywiołów politycznych, podniósł się znacznie stopień „aktywizmu“ i „niepodległościowości“ tych stronnictw naszych, które od początku wojny szukały oparcia po stronie państw centralnych; żywioły te bowiem, jak wszystko co dąży do jakiegoś żłobka, są z natury swojej przeznaczone do wszelkiego „aktywizmu“. Dziś może być jeden jego rodzaj, jutro drugi, pojutrze jeszcze inny, byleby w każdym czasie trzymać się takiego, który „realizacyę“ własnych interesów posuwa naprzód i nie karmi wciąż człowieka samemi nadziejami.

Tego rodzaju „aktywiści“ i „niepodległościowcy“ schronili się pod skrzydła opiekuńcze tych stronnictw naszych, które, pod batutą niemiecką, współdziałają z Niemcami w urządzaniu nowego życia polskiego; przezorna taktyka wciąż się opłaca i zachęca mniej zdecydowanych. Tak np. „Liga państwowości polskiej“ pozyskała nowych członków i „sympatyków“, gdy się okazało, że umiała na katedry uniwersyteckie powprowadzać młodzieniaszków rozmaitych, o których w nauce polskiej niewiele słyszano, że sam rektor uniwersytetu i t. p. luminarze o względy jej zabiegają. A jakże nagle nabrało znaczenia świeżutkie, sklecone na prędce t. zw. „stronnictwo narodowe“, gdy się dowiedziano, że generał-gubernator v. Beseler powiedział jednemu z jego... przedsiębiorców, że spodziewa się, iż odegra ono znaczną rolę w stosunkach naszych! Nie mó-

wiąc o tem, że większość urzędników „Rady głównej Opiekuńczej“ na łeb na szyję zapisywała się w poczet jego członków, ale to nawet jeden z wybitniejszych przedstawiciei prezydyum „Tow. Centralnego Rolniczego“, zawsze przytomny w rozmaitych stronnictwach przedwojennych, chociaż rzadko w nich obecny, zdecydował się wreszcie zaszczycić swoją personą tę, tyle obiecującą, zbieraninę mężów stanu in spe. Powodzenie natychmiastowe, bądź nadzieja ich w niedalekiej przyszłości, związana z uczęstnictwem w życiu politycznem tych stronnictw, które stoją po stronie państw centralnych, skupiła dokoła ich znaków sporo karyerowiczów, mydłków i „młynkarzy“ wszelkiego rodzaju, jak się wyraża pewien znakomity publicysta polski — co to dawniej starannie unikali wyraźności politycznej, jak zresztą wszelkiej innej, wciąż lawirowali i młynkowali, dziś za to należą do najmocniej przekonanych, najgorliwszych wyznawców i wielbicieli tych, wskazanych okolicznościami „oryentacyi“ politycznych, o jakich sami ich twórcy, ideolodzy, nieraz wątpią i, bez zastrzeżeń, nie przyjmują. Ci, nowi w polityce, ludzie (są między nimi i starzy wiekiem) nie mają czasu do stracenia, idą więc naprzód całym pędem karyerowiczowstwa, gotowego na wszelkie ustępstwa, kompromisy i kombinacye, nie wahającego się wobec niebezpiecznych i niepewnych sytuacyi, przyznającego sobie zdolności do prowadzenia najtrudniejszych spraw politycznych, kwalifikacye wszelkie na zajmowanie

najważniejszych placówek narodowych. Nic bardziej pouczającego pod tym względem, jak układanie listy kandydatów na członków „Rady Stanu"— i sama ich lista. Na liczne listy, co chwila zmieniane, wciągnięci zostali ludzie, o których, nawet w tych czasach szybkich awansów i wyróżnień, niewiele w Polsce wiedziano i słyszano, którzy niezawsze mieli dostateczne kwalifikacye na pełnomocników gminnych, np., lub członków dozoru kościelnego w swojej parafii, tymczasem oni sami byli gotowi odrazu, z powszedniości szarej — przejść do świetności historycznej, stać się pełnomocnikami narodu i urzędowymi kierownikami jego spraw. Wahali się i wycofywali ludzie, przynajmniej w stronnictwach swoich bardziej znani, nie wahały się i wciąż dawały się umieszczać na listach kandydatów jednostki wchodzące wszędzie z dobrą miną tam, gdzie jest coś do wzięcia lub do zajęcia, nie krępujące się wcale brakiem kwalifikacyi odpowiednich. Powstawały więc listy tak cudackie i niepoczytalne, (niezbyt imponująca jest i ostateczna), że gdy zostaną kiedyś podane do publicznej wiadomości, ogół polski nieprędko wyjdzie ze zdumienia, że gotowano mu podobną niespodziankę i z obawy, że może go to w przyszłości jeszcze nie raz spotkać.

Tacy i t. p. parwenyusze, z którymi już konferują przedstawiciele państw okupacyjnych i zapraszają ich do współdziałania z nimi w wielkim dziele tworzenia państwowości polskiej, jakże nie mają

wielbić polityki, kiedy to ona wydobyła ich z nicości, powołała do życia szerszego i narzuciła nietylko uwadze, lecz i woli narodu? To też są jej najżarliwszymi adeptami, samorzutnymi wyznawcami radykalnej polityki, oczywiście, jak się dziś powiada, „aktywistycznej“ i „niepodległościowej“. „Aktywizm“ polityczny rozumieją ci politycy interesu osobistego (mamy już całe stronnictwa tego rodzaju polityków) dość prosto, bez domieszki tej lub innej zawiłej metafizyki politycznej, jako czynność przeciągania narodu naszego na stronę państw centralnych, agitowania na rzecz idei, że tylko sojusz z Niemcami „na życie i na śmierć“, jak to określają pisma niemieckie, a rozumieją wskrzesiciele niepodległego państwa polskiego, — może zrealizować tę niepodegłość, stworzyć Polskę, prawdziwie wolną i zdolną do bytu politycznego, Godzi się to zresztą z ideologją „aktywizmu“ i „niepodległościowości“ tych grup politycznych, które walczą w przymierzu z Niemcami przeciw koalicyi, — tylko, że „aktywiści — karyerowicze“ na własną rękę i „odpowiedzialność“ — co to warte — tego nie mówimy — czynią pośpieszne zwroty i oświadczenia, stwierdzające wobec świata, że Polska już swoją drogę obrała, że postanowiła w nierozerwalnem przymierzu z Niemcami — z Zachodem, jak się mówi symbolicznie — walczyć do ostatka przeciw wschodniemu barbarzyństwu. W tym przeciąganiu i namawianiu społeczeństwa naszego na stronę „Zachodu“ najgorliwsi są „aktywiści“ powyż-

szego stempla, są bowiem najbliżej zainteresowani w tem, żeby ów sojusz Polski z Niemcami jaknajprędzej się dokonał, gdyż chcieliby co rychlej zbierać jego owoce. Przekonywają nas nawet, że stoją oni — a z nimi naród nasz — do współdziałania z Niemcami — „jak równi z równymi“. Temu wszystkiemu poświęćmy parę uwag.

Współpraca z państwami centralnemi, jest rzeczą nieuniknioną, wynikającą z sytuacyi obecnej, z rzeczywistości, wytworzonej na ziemiach Polski w czasie wojny, niepodobna od niej się uchylić, trzeba więc, żeby tacy lub inni „aktywiści“, byle tylko nie politycy interesu osobistego, jej nie zaniedbywali i poświęcali się w ten sposób dla dobra ogólno - narodowego. Ale taka, narzucona okolicznościami, współpraca, nie powinna pociągać za sobą oświadczania i deklarowania, że Polska tylko w związku ścisłym z Niemcami potrafi utrwalić swój byt polityczny, że w naszem oddaniu się — duszą i ciałem — państwom centralnym spoczywa nasza przyszłość, w dodatku nie powinna pociągać za sobą również łudzenia i bałamucenia siebie i innych, że w warunkach obecnych możemy ją prowadzić „jak wolni z wolnymi i równi z równymi“. Pierwsze jest przedwczesne i niepolityczne, drugie — wprost fałszywe, oszukańcze. Jakże to? Niemcy powiadają nam wręcz we wszelkich oświadczeniach swoich, że m u s i m y istnieć z niemi w sojuszu bezwzględnym i w zależności materyalnej, militarnej i t. p. od nich; uważają ten zwią-

zek z góry przez nich zdecydowany, nie pytają się nas nawet, już nietylko, czy my go chcemy, lecz jak go pojmujemy, a my ów przymusowy sojusz przyjmujemy entuzyastycznie i odpowiadamy im, że nic nie mamy przeciwko temu. Nie, panowie „aktywiści“, nasz stosunek powinien być nieco inny. Nie mamy prawa odrzucać tych lub innych sojuszów, ponieważ nie wiemy, jak który może służyć naszym interesom; ale też nie mamy prawa ulegać jedynie sojuszowi z Niemcami, przedstawianemu nam, jako konieczność, dlatego, że nie wiemy, jakim innym jeszcze podobnym koniecznościom będziemy musieli czynić zadość. Nam się zdaje, że państwo polskie, położone w środku potężnych mocarstw, będzie zmuszone do pozyskiwania względów nietylko państw centralnych, że na jedną stronę nie powinno być przeciągane gwałtem, a tembardziej my sami nie powinniśmy, w okresie nie rozstrzygnięcia zagadnienia bytu naszego i niewyjaśnionych stosunków międzynarodowych, przytwierdzać go u jednego brzegu.

Powiadacie, panowie, że niepodległa Polska powstać może i utrwalić się na gruzach panowania i potęgi mocarstwowej Rosyi — bardzo to pięknie! Jest w tem niemało słuszności, ale czyście stawiali sobie inne pytanie — i szczerze na nie odpowiadali — mianowicie: czy Polska niepodległa politycznie może powstać i istnieć prawdziwie niezależnie przy wzroście potęgi niemieckiej i rozszerze-

niu się panowania Niemiec w Europie i u nas — w tej lub innej postaci?

Wszak chcecie, panowie, a i Niemcom tylko o to chodzi, żeby Polska była wałem ochronnym Europy środkowej i strzegła t. zw. Zachód przed zamachami Wschodu. Piękna bardzo misya, zresztą spełniana stale przez Polskę! Ale czyście się zastanawiali nad tem, kto nas, Polskę, ochraniać będzie przed postępującem nieubłaganie od wieków wypieraniem nas przez Niemców z naszych własnych siedzib? Czyż myślicie, że dla nas samych nie przydałby się wał ochronny przed zalewem germańskim, który przecież rozprzestrzeniać się będzie jeszcze łatwiej — na podstawie koniecznego i wyłącznego sojuszu z państwami środka. My będziemy pełnili wiernie swą służbę u wału ochronnego od Wschodu, a Niemcy będą nas stale przypierali do tego wału: — cóż nam więc się zostanie?

Nasi „aktywiści" utrzymują, że im prędzej się rozpocznie współdziałanie z Niemcami, tem mocniej się zacieśni nasz związek z niemi, jako „równych z równymi". Istna to farsa! Widać to doskonale od początku, jak Niemcy rozumieją naszą wobec nich równość. Państwa centralne utworzyły „samodzielne państwo polskie z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem" we własnym interesie, o czem mówią bez ogródek, ponieważ innego wyjścia nie miały; utworzyły po to, żeby nami się posługiwać dla własnych celów — z czem się

także nie kryją — gdzież więc tu stawianie nas na równej ze sobą stopie? nie mówiąc już o tej nierówności, jaka wynika stąd, że one reprezentują siłę i wolę twórczą, my zaś — niemoc i uległość losom, faktom, dokonywającym się bez naszego wpływu.

Trudno chyba przypuścić, żeby państwa centralne, po dokonaniu wielkodusznego aktu 5-go listopada 1916 roku, zamierzały nas pozostawić samym sobie, wcześniej zanim się przekonają, że wielkoduszność ich opłaciła się im z nawiązką i nadal opłacać się będzie, zanim słowem nie upewnią się, że urządzające się państwo polskie służy należycie ich interesom, pełni przykładnie ich wolę. Współdziałanie więc nasze z niemi ściągnie się w gruncie rzeczy do jej wykonywania, interes zaś nasz własny, polski, będzie przytem o tyle uwzględniany, o ile będzie w zgodzie z interesem niemieckim — a czyż interes polski pozostaje w takiej naturalnej harmonii z niemieckim, żeby pomiędzy obydwoma nie wynikały ciągłe sprzeczności i zatargi? Jakież to będzie współdziałanie nasze — jako „równych z równymi“, gdy interes polski będzie wciąż ustępował miejsca niemieckiemu — a czy inny wynik jest przewidywany? rzecz to bardzo wątpliwa! Oto mała próbka, jak się może odbywać współpraca nasza— jako „równych z równymi“. Formuje się „Rada Stanu“, która wszak ma reprezentować to współdziałanie; układają się listy kandydatów na członków tej instytucyi, zdawałoby się, że wybór ludzi

powinien być pozostawiony społeczeństwu naszemu i zależeć od porozumienia tych żywiołów, które do „Rady Stanu“ iść zamierzają — w ten tylko bowiem sposób zasada układów „równego z równym“ byłaby potwierdzona. Dzieje się wszakże tak, że w toku pertraktacyi, zwłaszcza, gdy była nadzieja przystąpienia do „Rady Stanu“ nietylko tych żywiołów, które od „Kuryera Polskiego“ i t. p. wyrazicieli opinii otrzymują świadectwo prawomyślności aktywistycznej, gdy prócz urzędowych „aktywistów“ mieli wstąpić mniej urzędowi, wówczas Niemcy (no — i polacy także!) stawali temu na przeszkodzie, na pewne jednostki się godzili, na inne nie, jednych przyjmowali, innych odrzucali. Czegóż to dowodzi? Rzecz jasna tego, że Niemcom chodzi o to, by „Rada Stanu“ utworzona była podług ich myśli, żeby skład jej dawał im rękojmię, iż instytucya ta im przedewszystkiem służyć będzie i ich wolę wykonywać — o co chyba mniej chodzi naszym „aktywistom“. Gdzież więc, w takich warunkach, można myśleć o współdziałaniu „równych z równymi. Ale, nawet współpraca w warunkach nierówności, co leży w naturze rzeczy, gdzie interes polski z konieczności będzie na drugim planie, może być z pożytkiem dla nas, o ile „aktywizm“ nasz nie będzie się trzymał, jak pijany płotu, zasady, że byt swój polityczny możemy utrwalić jedynie tylko w nieodwołalnym sojuszu z państwami centralnemi, że nie istnieją dla nas inne możliwości, słowem, jeśli „aktywizm“ nasz potrafi zdobyć się

na samodzielność, wogóle na politykę samodzielną, polską, nie zaś tę, jaką wykreślili dla nas twórcy „sprzymierzonego państwa polskiego.“ Samodzielność aktywistyczna mogłaby się objawić nasampierw przez lepszą, zgodniejszą z rzeczywistością, oceną samego faktu obdarowania nas państwem niepodległem, — faktu, którego ogromnej doniosłości nikt nie zaprzecza, który jednakże nie może w nas wywoływać entuzyazmu bezgranicznego — jako coś, co dla autorów jego było jedynem wyjściem z trudnej sytuacyi, miało przedewszystkiem na względzie interes państw centralnych, było sui generis sposobem walki z ich przeciwnikami, na nasz zaś pożytek godziło się jako na nieunikniona ostateczność. Stąd też mogłyby się wywinąć dalsze objawy samodzielności polityki aktywistycznej, między innemi nie uważanie tych żywiołów społeczeństwa naszego, które nie doznawały uczucia wniebowzięcia z powodu ogłoszenia aktu 5-go listopado, za dotknięte „hypnozą rosyjską“ — i nie otrąbywanie światu, że wzniesiony na naszych ziemiach „zamek na lodzie“ obowiązuje nas do wprzęgnięcia się bez zastrzeżeń do rydwanu państw centralnych, Ale à propos „hypnozy rosyjskiej“. Śmiejecie się zapewne nieraz sami, panowie „aktywiści“ — zarówno czystej, jak i mętnej wody — gdy wciąż zarzucacie swoim przeciwnikom, tak przecie licznym i rozmaitym żywiołom społeczeństwa naszego, iż ulegają tej hypnozie, gdy oskarżacie je o rusofilstwo i t. p. Wiecie bowiem doskonale, że istotne-

go rusofilstwa wśród warstw inteligentnych ogółu naszego nie mogło być — z powodu ucisku narodowości, tępienia kultury naszej, różnicy duchowej i t. p. — w czasach przedwojennych; wiecie, że społeczeństwo polskie sentymentów nie żywiło względem Rosyi; — chyba tylko żydzi i radykalne odłamy naszej inteligencyi, t. j. te żywioły, które obecnie są najzagorzalszymi zwolennikami i agitatorami na rzecz państw centralnych, wdawały się w czułości wszelkie z liberalnemi sferami społeczeństwa rosyjskiego... Skądże więc, raptem, w czasie wojny, miało się wziąć owo gruntowne rusofilstwo, z jakich powodów ulegliśmy hypnozie rosyjskiej? Mogło to się dokonać pod wpływem oszołomiających wypadków, ze względów taktyki politycznej, z błędnych wreszcie — o co w początkach katastrofy wszechświatowej nie było trudno — przewidywań przyszłości i t. p. czynników. Niemniejszą rolę, w sztucznem podnoszeniu się siły sentymentów naszych dla Rosyi, odgrywała obawa groźnej nawałnicy, idącej od naszych granic zachodnich, trwoga przed mieczem teutońskim i takąż kulturą, utwierdzającą się na naszych ziemiach w imię zasady: „Siła przed prawem"; a i to także, iż Rosya występowała do walki z państwami centralnemi w związku z Anglią, Francyą, Belgią, Włochami, których społeczeństwa, kultura, życie całe — było nam zawsze sympatyczne, bliższe niż to samo po stronie przeciwnej. Nie nasza wina, że Rosya znalazła się w takiem towarzystwie... Jakkolwiekbądź,

to nasze polityczne, czy nastrojowe rusofilstwo nie miało w sobie pierwiastków głęboko sięgających w dusze nasze, było czemś powierzchownem, chociaż mogło wydawać się tem, co nazywacie „hypnozą“.

Z podobnej hypnozy bardzo łatwo u nas się otrząsnąć, zwłaszcza, gdy się jej ulegało świadomie, nie zaś żywiołowo, wskutek naturalnej predyspozycyi organizmu. Tak rzeczy się miały wśród inteligencyi naszej. Inna sprawa — u ludu, w szerokich jego masach! Ale tu hypnoza rosyjska szła z głębin instynktu, wstrząśniętego poczuciem zbliżania się tępiciela odwiecznego i nieubłaganego rasy naszej, co też nie było czemś zbyt chorobliwem, oraz z życiowo-praktycznych pobudek i małego uświadomienia w sprawach ogólno-narodowych, nie mówiąc o znieprawiającem oddziaływaniu rządów rosyjskich. W sferze ludowej sentyment dla Rosyi sięgał głębiej. Ale na to radzić należy, zwłaszcza w dobie obecnej, nie tymi sposobami, jakim hołdują zwolennicy sojuszu polsko-niemieckiego, przedewszystkiem zaś nie przez przedstawianie ludowi naszemu niebywałych dobrodziejstw stąd płynących dla Polski i nie przez narzucanie mu, brutalne i niepoczytalne, tego wszystkiego, co sojusz ów stwierdza. O tem jednak, panowie „aktywiści“ jak najmniej myślicie, owszem, popieracie, a przynajmniej obojętnie patrzycie na demagogiczną akcyę wśród ludu naszego, prowadzoną przez płatnych reprezentantów przymierza polsko - niemieckiego (przykła-

dem „Lud Polski“ i jego działalność), albo przez waszych ideologów zbawienia Polski za pomocą państw centralnych. Dlaczego to, panowie, aktywizm wasz nie ujawnił się dotychczas w kierunku zahamowania podobnie zdrożnej propagandy wśród ludu naszego — wiejskiego i miejskiego? To byłoby o wiele skuteczniejsze, niż obrzucanie nieustanne przeciwników swoich wyzwiskami: zdrajców, „moskalofilów“, niewolników i sług carskich i t. p., którymi tak hojnie szafujecie w chwilach uroczystych waszych manifestacyi na rzecz twórców „srzymierzonego Królestwa Polskiego“, czy też w momentach mniej podniosłych.

Powiadacie, że ogłoszenie aktu 5-go listopada, przyczyniło się, między innemi, do uleczenia społeczeństwa naszego z hypnozy rosyjskiej — tem lepiej! Po cóż więc, w takim razie, kiedy rzeczy tak pomyślny obrót przybrały, chcecie, panowie, społeczeństwo nasze wpędzić w nową chorobę, nowej poddać go hypnozie? Jesteście o sobie tego zdania, że uosabiacie patryotyzm o wiele nieskazitelniejszy, i myśl polityczną wytrawniejszą, niż ci, których utrzymujecie wciąż w obozie rusofilskim, jakby w jakim obozie koncentraacyjnym dla jeńców wojennych; że mniej popełniliście błędów i nawę narodową kierujecie do brzegów możliwej szczęśliwości. Oby tak było! Jeśli jednak tak dobrze mniemacie o sobie i działalności swojej, to pocóż chcecie popełnić błąd o wiele większy, niż popełnili wasi przeciwnicy polityczni, takim błędem bo-

wiem byłoby wytworzenie w społeczeństwie naszem nieuleczalnej hypnozy germanofilskiej. Już ją nawet wytwarzacie sposobami jaknajmniej politycznymi, a nie da się ona łatwo zniszczyć, przeniknie bowiem głęboko do dusz inteligencyi, gdyż wypłynie nie z oszołomienia zmysłów i nerwów, lecz tym razem z przekonania, z myśli i woli kierowanej interesem politycznym i pospolitą życiową rachubą, z ustawicznego sugestyonowania ogółu naszego, iż zbawienie ojczyzny tylko w ręku państw centralnych spoczywa, z podniecenia uczuć narodowych, ułudnymi i zwiększającymi ich lot w krainy wymarzone mirażami i surogatami samodzielności, władzy własnej, państwowości polskiej. A to wszystko, hypnoza ta, powstaje już i powstawać wciąż będzie za przyczynieniem się waszem, w atmosferze świąt i manifestacyi narodowych, drogich sercu polskiemu, ale też dogadzających niemniej próżności naszej i widokom specyalistów od ich inscenizowania, co też pociąga za sobą branie liczmanów za dobrą monetę, pozorów oszukańczych za zdobycz istotną. Rosya niczem nam nie imponowała — budziła, owszem, w nas poczucie naszej wyższości kulturalnej, oraz wstręt i wzgardę dla jej zniepprawienia państwowego i nędznej względem nas polityki biurokratycznej, co wszystko razem zwiększało w nas oporność i pozwalało trwać i nie tracić nadziei w przyszłość lepszą. Niemcy, przeciwnie, mogą nam imponować: pracą swoją i karnością wewnętrzną, spójnością państwową i kulturą techniczną, słowem

masą rzeczy i przymiotów cennych, zwiększających wartość społeczeństw ludzkich. To wszystko podbija i ujarzmia samo przez się narody słabsze i uboższe, cóż więc dopiero stać się może z nimi, gdy zaczną wobec tego wszystkie tracić głowę i uzależniać się dobrowolnie, nie pomni tego, że poza tem stoją, i narzucają te dobrodziejstwa kulturalne, siły mniej dobroczynne, złowrogie instynkty i zamiary narodu i państwa, jak Niemcy, od wieków wzrastającego w potęgę naszym kosztem? Hypnoza niemiecka, którą rozszerzacie tak gorliwie, panowie „aktywiści“ w naszem społeczeństwie, pozbawić je może tej siły odporu, jaka mu będzie potrzebna nawet wówczas, gdy stosunek nasz do Niemców zacznie doprawdy ustalać się na zasadzie „równych z równymi“, cóż mówić o okresie przejściowym, w którym jest to urojeniem ślepych na światło rzeczywistości!

Przy tem, panowie, fałszujecie nierzetelnie pojęcie „Zachodu“, twierdząc, że Polska tylko stamtąd może spodziewać się poparcia w jej aspiracyach narodowych i państwowych. Tak, Polska zawsze ciążyła ku Zachodowi i walczyła bez przerwy z barbarzyństwem wschodniem, od którego spadały na nią ciosy śmiertelne. Ale, czy nie cierpiała ona od barbarzyństwa zachodniego, od tego właśnie „Zachodu“, w którym teraz nagle mamy widzieć naszego zbawcę? czy ten „Zachód“, który tak szczytnie teraz przemawia do nas w imię pokrewieństwa cywilizacyjnego, nie tępi dotychczas bez pardonu

naszej kultury narodowej, naszego indywidualizmu swoisteego, mając nas za „naród mniejszej wartości“ — wprost za helotów? O tem wiecie również dobrze, panowie „aktywiści“. Nie wsiadajcie więc na popularnego konika zachodniego, gdyż Zachodem dla Polski zawsze było — i będzie — to wszystko, skąd czerpaliśmy od wieków nasz zasiłek duchowy, naszą moc kulturalną i nadzieje lepszej doli, nie zaś to, skąd szedł na nas mrok ucisku i widmowydziedziczenia. Taki żarłoczny „Zachód“, pomimo swoją wyższość kulturalną, niczem się nie różni, gdy chodzi o polityczny stosunek do Polski, od barbarzyńskiego „Wschodu“.

Ale, cóż począć! Z tego rodzaju „Zachodem“ Bismarck‘a, Hartmann‘a i Treitschke‘go, gdy zaczyna on nas używać do realizowania własnych planów, wystawiając na pokusy rozliczne, nie możemy uniknąć bliższej styczności, związku i współpracy w tym przełomowym momencie życia naszego. Współdziałanie z Niemcami, w warunkach, jakie się dla nas przez wojnę wytworzyły, jest, powtarzamy, faktem nieuniknionym; ktoś z naszej strony, pewne jednostki i grupy polityczne, zmuszony jest tego się podjąć, zapoczątkować tę współpracę, która się stała koniecznością. Chodzi więc teraz o to, żeby uczestniczący w niej z naszej strony, umieli wobec swego partnera zająć stanowisko samodzielne, żeby polityka ich nie wypływała z przesłanek rozwijanych gorliwne przez prasę denuncyatorską i nie brała natchnienia ze sfer politycznych przeniknię-

tych karyerowiczowstwem, wytwarzającem w społeczeństwie naszem hypnozę niemiecką.

Parwenyuszowskie karyerowiczowstwo polityczne, które szerokie zatacza u nas kręgi, nie może być samodzielnem, gdyż nie opiera się na wewnętrznych wartościach ludzkich, na mocnem poczuciu samego siebie, godności osobistej i narodowej, szlachetności dążeń i czystości środków, lecz w siłach zewnętrznych, tych lub innych, którym schlebia i wysługuje się, szuka sprzymierzeńców. Nie łudźmy się bowiem nieprzejednaniem „niepodległościowem" karyerowiczostwa politycznego. Rozpęd „niepodległościowy" tych sfer wszak bardzo świeżej jest daty i powstał wówczas, gdy już mówienie o niepodległości naszej i manifestowanie na jej rzecz stało się czemś bardzo powszedniem, przez nikogo nie prześladowanem. I wtedy to karyerowiczostwo polityczne zaczęło krzykliwie popisywać się ze swoim programem niepodległościowym i zarzucać tym, co nim żyli w najcięższym okresie niewoli narodowej, że go się wyparli. W tych czasach, kiedy to ci, którzy w ten lub inny sposób walczyli o niepodległość narodu i cierpieli za nią „więzienia i bicia", rozmaici „prezesi" dzisiejszych, w czasie wojny powstałych, stronnictw komiwojażerstwa niepodległościowego — składali, nie wiadomo poraz który, u stóp tronu władcy północy, zapewnienia swych uczuć wiernopoddańczych. (p. adresy z okresu rewolucyjnego). A byli i tacy — dziś tyle ruchliwi i namaszczeni chorążowie „niepodległościowi" — co

umieli np. surowo skarcić w pismach swoich posła Nakoniecznego, za jego żywsze odezwanie się na temat niepodległości (właśnie!) — podczas pobytu delegacyi czeskiej w Warszawie.

O tem wszystkiem wspominamy ku przestrodze tych naszych sfer i stronnictw, które ideał niepodległości Polski umiały żywić i utrzymywać w mniej przyjaznych warunkach niż obecne. Charakteryzując nasze dzisiejsze karyerowiczostwo polityne, niemieliśmy, rzecz jasna, powyższych sfer na względzie. Wierzymy, że ich „aktywizm“ niepodległościowy wypływa z gorącej miłości ojczyzny, dla której nie wahano się tam, nawet przed ofiarą życia własnego. Działalność polityczna tego rodzaju sfer niepodległościowych może grzeszyć doktryną błędną, wolną jest jednak od parwenyuszowskiej żądzy osobistego powodzenia, przekształcającej sprawę publiczną w przedsiębiorstwo interesów prywatnych. Tak samo nie mieliśmy na względzie tych jednostek poza partyami stojących, które z dobrą wolą i bezinteresownem pragnieniem służenia sprawie narodowej, wchodzą obecnie na ślizkie drogi współdziałania z państwami centralnemi, w nadziei, iż wypowiedziane przez nie słowo niepodległości Polski, wskutek ich pracy — stanie się ciałem. Tem przykrzej jednak, że tak różniące się od siebie sfery aktywistyczne zmieszały się razem, że szczerzy bojownicy ideału niepodległości naszej, stoją pod jednym znakiem z jego aferzystami i faryzeuszami, z „młynkarzamn“, przedstawicielami kapitału gieł-

dowego i t. p. żywiołami, popisującymi się dziś swoją nieskazitelnością poltyczną. Z tego więc względu „aktywiści“ nasi, ci, których serca biją tętnem prawdziwie „niepodległościowem“ — nietylko wskutek awansu, otrzymanego z łaski redakcyi „Kuryera Polskiego“ i t. p. — przystępując do wspólnego z Niemcami realizowania „samodzielnego państwa polskiego z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem“, na podstawie aktu 5-go listopada, powinni pierwsi rozpocząć stanowczą walkę z zarazą denuncyatorstwa i karyerowiczostwa politycznego, wciskającego się w sfery, którym obecnie przewodniczą, wogóle z tem wszystkiem w dziedzinie naszych działań i koncepcyi politycznych, co pozbawia nas samodzielności w stosunku do państw centralnych, rzuca niepoczytalnie w ich objęcia, bez względu czy na tem zyskuje całkowity interes polski, czy też traci niepowrotnie.

Jeśli w tym okresie przełomu w naszem życiu wewnętrznem, w tym punkcie wyjścia dla budownictwa państwowości polskiej w ramach zakreślonych nam przez państwa centralne — „aktywizm“ nasz budzić będzie nieroztropnie wiarę we wspaniałość zamiarów względem Polski jej przygodnych „wskrzesicieli“; jeśli będzie utożsamiał interes polski z interesem niemieckim i vice versa: to takie „budownictwo“ stanie się udoskonalonym sposobem ujarzmienia narodu naszego, jego podboju przez Niemców dokonanego tym razem przedewszystkiem naszemi własnemi siłami, za naszą wie-

dzą i wolą! I w tem również nie będzie winy Niemców. Oni nie tają swoich zamiarów, mówią wyraźnie po co im jesteśmy potrzebni i jak chcą nami się posługiwać, by dojść do celu, do którego dążą wytrwale, parci od wieków koniecznościami rozwoju państwa swego, przynaglani względami toczącej się wojny. Robią to, co jest w zgodzie z ich instynktem życiowym i, wypróbowanym w ciągu ich dziejów, patryotyzmem, któremu nie odmawiamy naszego uznania i podziwu.

Mielibyśmy więc zamykać dobrowolnie oczy na tę wyraźność ich dążeń i zamiarów i iść na oślep pod urokiem hypnozy, jakąśmy samym sobie zaszczepili na tle słusznej nienawiści i odrazy dla innego zaborcy—zresztą tak niedawno jeszcze wspieranego przez Niemców, gdy chodziło o gnębienie nas i powstrzymywanie rozwoju naszego?

Czas wielki wyzwolić się z pod tej lub innej hypnozy, czas stanąć mocno na własnej podstawie — ogarnąć samodzielnie całość interesu polskiego i z takiem przekonaniem w duszy, z takiem hasłem iść do współpracy, o byt niepodległy Polski, choćby — z dyabłem samym, jeśli taka jest konieczność dziejowa! „Fate l'Italia anche col diavolo" — mówił wielki patryota włoski. W gorszej znajdując się sytuacyi — możemy to hasło uznać za swoje, pod warunkiem nie ulegania ponętnym pokusom dyabelskim i brania świecideł niepodległościowych za niezbędny, pożywny chleb powszedni niepodległości politycznej.

Przychodzi czas wielkich poczynań w narodzie naszym, powstają instytucye państwowe polskie, tworzy się „najwyższa magistratura państwowa“, departamenty jej podległe, urzędy rozmaite i t. p.— baczcie więc panowie „aktywiści“, tak gwałtownie unoszący się rozmaitemi pokusami i błyskotkami, żeby się za niemi opowiedział naród, żeby doznały poparcia od sfer jego niezależnych, zdolnych wistocie pracować rzetelnie dla Polski, nie zaś tych głównie, których kanclerz Rzeszy nazywa „bojownikami zasłużonymi wspólnej sprawy“.

Wy, co wchodzicie obecnie na trudną i odpowiedzialną drogę, baczcie, żeby w tych instytucyach państwowych polskich naród stanął z wami do pracy, nie zaś, iżbyście w nich współdziałali z Niemcami dla tych celów, jakie oni przy pomocy instytucyi owych i waszej w nich działalności zamierzają osiągnąć!

Czuwajcie więc, żeby w te formy, które macie wypełniać treścią zdrową, umożliwiającą normalniejszy bieg krwi w naszym organizmie narodowym, nie weszła ta wszelka zaraza, która już oddawna wlecze się za wami, żądna łupu i rozszerzenie się na wszystkie strony!...
